

suwkę z wewnątrz odsunięto. Kulczyk z dwoma żołnierzami do izby wszedł.

— Hej gospodarzu? — zapytał. — Było tu jakie wojsko?! Co!?!...

Chłop podniósł ociężałe oczy, popatrzył na żołnierzy. Na twarzy jego przebiegała się apatya, zrezygnowanie, przygnębienie. Patrzył na Kulczyka jakoś tak dziwnie, że aż ten go zapytał:

— Cóż się tak gapicie na mnie! Gadajcie: no: było tu jakie wojsko?

— Ano było!

— A jakie? — badawczo pytał Kulczyk.

— Ano nasze!

— Jakie nasze?

— No kozaki!... — odparł chłop, patrząc na Kulczyka.

— To kozaki są waszem wojskiem — gniewnie przemówił Kulczyk.

— A no pod Moskołem jesteście, to i jego wojsko naszym się nazywa — flegmatycznie odpowiedział chłop.

— A wielu ich było? He!?

— A może ze dwie sotnie. Zostawili paru przy karczmie i pojechali gdzieś.

— A gdzie?

— W górę wsi. Ale nie wiem, gdzie?

— Dawno?

— A będzie już z pięć godzin!

— A ci przy karczmie zostali? — pytał dalej Kulczyk.

— Nie wiem!

Chwilę patrzył uważnie na Kulczyka, wkońcu zapytał:

— A panowieście jakie wojsko?

— Nie widzicie, jakie my wojsko. Polskie my wojsko.

— Polskie? — zapytał zdziwiony. — Ja myślałem, że Prusaki.

— Jakto, nie słyszeliście nic o polskim wojsku, o strzelcach. Nic wam tu we wsi nie mówili. Nie wiecie, że polski żołnierz jest i walczy z Moskałem.

— Ta niby mówili nam urzędniki, że jakiesik sokoliki przyjdą i będą nas mordować, a dobytek rabować. Kazali takich chwycić i do wojska naszego odstawić, albo żandarmom, i obiecali, że nam będą za to płacić.

— Tak wam mówili?

— A tak.

W krótkich słowach objaśnił go Kulczyk o polskim wojsku. Wkońcu polecił nie spać jeszcze, gdyż tu na kwaterę przyjdą żołnierze i pomaszerować do wsi.

Ostrożnie posuwając się pomiędzy budynkami, do środka wsi dotarli. Wieś spała. Z okien niektórych domów gdzieś tam przed obrazem zabłysło. Pies przebudzony szmerem od czasu do czasu warknął, zaszczekał na przechodzących żołnierzy.

Wreszcie ukazała się przy drodze karczma. W oknach światło błyskało — ze środka gwar i hałas dochodził. Widocznie bawiono się tam wesoło. Kulczyk przystanął z żołnierzami i plan działania ułożył. Przedewszystkiem trzeba zbadać, kto w karczmie jest, wielu właściwie jest tam kozaków, a potem tak ich otoczyć, aby ich do niewoli bez wystrzału wziąć, gdyż w pobliżu może być większa siła nieprzyjacielska, która by strzałami mogła być zaalarmowana. A tak, jeśli się ich cicho sprzątnie, będzie się można łatwo od nich dowiedzieć, jakie siły nieprzyjacielskie są i gdzie.

Zaraz za karczmą stały zabudowania gospodarcze. Stodoła przytykała do karczmy — wokoło zaś ogród owocowy. Dwom żołnierzom rozkazał Kulczyk za stodołę iść, na rogach zaś karczmy ustawił po jednym, a najsprytniejszego, Kranca, pod okno posłał, aby zbadał, wielu jest kozaków w izbie. Wszystko szło w jak najlepszym porządku. Nie szczęście jednak chciało, że pies łańcuchowy, leżący w budce przy stodołę, zerwał się i zaczął głośno ujadąć.

Podbiegł Kulczyk do niego, bagnet utopił w jego cielsku, przywiercił go do ziemi. Tymczasem kozacy ostrzeżeni szczekaniem i wyciem zdychającego psa, z karczmy wybiegli.

Zwęszyli niebezpieczeństwo — porunem na konie wskoczyli. Kranc, widząc co się dzieje, wypalił z karabinu, za nim wystrzelili inni. Kozacy odpowiedzieli kilkakrotnie strzałami, ale bez najmniejszej szkody. Jedna tylko z kul zabłąkanych uderzyła w okno karczmy, do izby wpadła i zraniła szynkującą dziewczynę w rękę. Posłali jeszcze kilka strzałów za nimi, ale bezskutecznych. Umknęli w panicznym przestraszeniu.

Kulczyk był zrozpaczony.

— Tak głupio się skończyło — przemówił gniewnie. — Żeby choć jednego rannego dostać, toby

inaczej było. Moznaby coś dowiedzieć się od niego. Teraz mogą zaalarmować swoich i może być z nami krucho.

Naradzili się, co dalej robić.

— Bałwan ze mnie — przemówił po chwili Kulczyk. — Trzeba było konie im sprzątnąć, a potem do nich się zabrać.

— Wszystkiemu winien pies — zauważył Kranc. — Gdyby nie jego szczekanie i konie bylibyśmy mieli, i kilku kozaków.

Wstąpili do karczmy. Tu zebrali dokładne informacje o tej patroli, która tam uczuwała. Po rozglądnięciu się po wsi i wyszukaniu kwater dla batalionu, powrócili do kompanii zdać raport z wiadomości.

Kompanijny przedłożył raport Kulczyka batalionowemu i po chwili odmaszerowały kompanie na kwaterę.

W marszu przystąpił Liszka do Kulczyka i zapytał:

— Masz jaką dla mnie porządną kwaterę?

— A jakże. Wyśmienitą do tego. Pod pierzyną będziemy spać. Karczma przytem blisko, coś zeżryć i napić się dostanie.

— To dobrze.

Kilku innych przyłączyło się z prośbami o dobrą kwaterę, ale Kulczyk tylko sześciu wybrał i tym przyobiecał postarać się o dobrą kwaterę.

Wesoło przemaszerowali żołnierze do wsi, ciesząc się, że noc spokojnie i wygodnie przepędzą, pokrzepią siły do dalszej drogi, a może coś do przepłukania gardła znajdzie się — mówili.

* * *

Kulczyk przyprowadził nas na kwaterę do chaty tej, do której poprzednio wstąpił. Było nas wszystkich sześciu. Chłop lampę zapalił, słomy zniósł ze stodoły, pościelił na ziemi. I mimo znużenia sen odbiegł nas zupełnie. Koło kominka, na którym rozpalono ogień, oparło się kilku, ogrzewając zmarznięte ciała. Ogień na kominku błyskał jasnymi iskrami, rozświetlając izbę.

— Hej gospodarzu! — przemówił po chwili Florek. — Nie macie też coś zjeść. Może masło jest, chleb?

Chłop poskrobał się po głowie, a po chwili ze skrzyni wydobyl garnek masła i chleb razowy. Na ogień postawiliśmy garnek z wodą, aby zagotować wodę na herbatę.

Przebudzona gospodyni wystawiła głowę z pod pierzyny, patrząc na nas zdziwionym zwrokiem. Chłop coraz ufniej spoglądał począł na nas, chętna rozmowy świeciła mu w oczach. Usiadł na krawędzi łóżka, oddychając ciężko.

— No i cóż gospodarzu — spytał go Kulczyk — Jakże tam wasze gospodarstwo?

— Gospodarstwo, panie! Ciężkie czasy nadeszły. Kara Boża, czy co. Com miał bydła i koni zabrało mi wojsko, ziemniaki i zboże. Nie wiem, co pocznę z wiosną. Człek się cały rok narobił i tak wszystko poszło na marne. Przyjdzie chyba z głodu umrzeć na przednowku.

— Ale przecież wam zapłacili? — spytał go jeden z obywateli.

— Zapłacili, zapłacili! — westchnął głęboko. — Brali co chcieli, płacili co chcieli. A nie wszyscy płacili. Ot większą część dobytku to oddałem za takie jakieś kwitki, a Bóg wie kiedy i gdzie się po pieniądze zgłosić.

Wyciągnął z za obrazu kilka świstków papieru i podał Kulczykowi. Były to kartki rekwizycyjne.

— Może mi powiecie panowie, odczytacie, gdzie się po pieniądze zgłosić, bo ja nie umiem czytać.

Spojrzał Kulczyk na kartkę jedną i drugą.

Gospodarz po chwili spytał, gdzie ma się udać po pieniądze. Objaśniliśmy go, a następnie

zmęczeni towarzysze poukładali się do spania, pozostał tylko Kulczyk, który o dwunastej miał iść zaciągnąć pla-

cówki. Usiadł przy stoliku, z portfelu wyciągnął kopertę i papier i począł pisać.

— Do kogo piszesz? — spytałem.

— Do rodziców! Spodziewam się, że poczta nasza nadciągnie w tych dniach, to oddam list. A może jaka kartka dla mnie jest. Ciekawym bardzo, co tam w Nowym Sączu słychać.

Rozciągnąłem się na słomie, rozkoszując się ciepłem, jakie się w izbie od napalonego kominka rozchodziło, senność poczęła mnie coraz bardziej ogarniać. Ciszę panującą w chacie przerywały oddechy śpiących i ciągnięcie pióra po papierze.

Kulczyk tymczasem pisał list do rodziny, o zdrowiu swoim i powodzeniu, że ma nadzieję powrócić cało z wojny, aby się o niego zbyt nie martwili — prosił.

I pozdrawiał ich po tysiącnie razy, tęsknotę za nimi opisywał, i upominał, aby choć cośkolwiek opisywali mu, co słychać w domu, czy zdrowi — bo on zdrow — i Moskali bije.

* * *

Ciemno jeszcze było, gdy zerwałem się z posłania, zbudzony hałasem w izbie. Przetarłem oczy nerwowo, chwytając pospiesznie za mundur, wdziewając go gorączkowo, przekonany będąc, że to alarm nocny.

— Cóż to? Cóż to? — spytałem.

— Ale spijcie, spijcie — odezwały się głosy leżących obok mnie. — To Kulczyk przyszedł z placówkami i coś tam upolował.

Zaświeciłem świecę, przylepiłem ją na ławce. Kulczyk do izby wszedł uśmiechnięty. Mundur miał cały powalany gliną, twarz i ręce czarne od błota. Pod pachą trzymał parę butów z cholewami, które natychmiast na podłogę rzucił.

— Skądżeś wziął buty — zapytałem, przyglądając im się. Były obłożone całe, a miejscami plamy czerwone znać było. Wziąłem je w ręce przypatrując się bacznie. Wyglądały, jakby krwią złane.

— Cóż to, ranny jesteś, że tu krew na tych butach?

— E... nie.

— Przecież tu krew widać?

— Tak, ale nie moja.

— A buty skąd wzięłeś? — po raz drugi go spytałem.

— Upolowałem!

Flegmatycznie zdjął stare swoje buty, a raczej strzępy skóry i rzucił do kąta, mówiąc:

— Teraz na pensję niech idą. Wysłużyły się dość. Patrz, nowiutkie buty zafasowałem.

Szmata mokrą oczyścił pokrwawione buty, nogi owinał w świeżą onuckę i wciągnął buty na nogi.

— Trochę duże, ale to głupstwo. Silne są za to, podkute, wystarczą na całą wojnę.

Przeszedł się parę razy po izbie, przyglądając się nowym butom. Gospodarz przebudzony podniósł głowę z poduszki, rozglądając się po izbie.

— Skądżeś je wziął? — znowu spytałem zadumanego Kulczyka.

— Mówiłem przecież, że upolowałem — flegmatycznie odparł, kładąc się na posłanie i zapalając papierosa.

— Gdzie?

— Zaraz opowiem!

— Wyciągnął się wygodnie na słomie, pociągnął kilka dymów z papieru. Przysunęliśmy się bliżej ku niemu, on zaś począł opowiadać:

— O dwunastej, jak wiecie, objąłem służbę i poszedłem zmienić placówki. Dobra godzina minęła, zanim załatwiłem się z ostatnią placówką, a potem idę z ludźmi powoli, nad słuchując bacznie, czy coś podejrzanego w pobliżu nie zauważę.

Nagle posłyszeliśmy, iż na drodze od strony Kielc tętent jakiś daje się słyszeć, niewyraźny z początku, ale z każdą chwilą coraz głośniejszy.

Padliśmy tedy na ziemię. Żołnierze ukryli się za pagórkami, ja zaś pozostałem w szosie. Przykucnąłem do ziemi, karabin skierowałem w stronę gościńca. Wyteżam wzrok, ale niestety nic widzieć nie można było, gdyż gęsta mgła zasłaniała widnokrąg, a do tego noc dzisiejsza ciemna taka i ponura. Ale słyszę najwyraźniej, że tętent zbliża się w stronę naszą, ktoś galopem pędzi w moją stronę.

— Głupstwo — powiedziałem sobie — jakaś sztyfa pewnie. Z raportem pewnie jedzie.

Już coraz bardziej zbliża się. Widzę dobrze sylwetkę jeźdźcy, ale nie mogę rozpoznać, czy to nasz, czy nieprzyjaciel. Kiedy podjechał na odległość kilkunastu kroków, krzyknąłem zrywając się z ziemi, mierząc do niego z karabinu:

— Stój! Kto tam?

(Ciąg dalszy nastąpi).